

Zofia Nosalewska

MIGAWKI WSPOMNIENIŃ O OJCU-PRYMASIE

Od początku znajomości z ks. Stefanem [Wyszyńskim] otrzymywałam od Niego tylko dobro, nie zdając sobie jeszcze sprawy, jakiego to formatu człowiek. Niniejszy tekst stanowi parę „migawek“ faktów, które zapadły głęboko w serce, ale których dokładna chronologia niekiedy zatarła się w pamięci osłabionej przejściami wojennymi. Część z nich to wspólne przeżycia, część — nie znane ogółowi lub też znane tylko tym, którzy już odeszli.

* * *

W pierwszych latach okupacji hitlerowskiej — konspiracyjne rekolekcje dla grupy 20 — 30 pań w Warszawie u sióstr niepokalanek. Bardzo dobre — będą nas żywić potem przez całą wojnę. Ksiądz nie chciał jeść osobno, jak to lubią podawać zakonnice, by uhonorować kapłana, ale jadł razem z nami. Raz spóźnił się, bo spowiadał. Wszedł, gdy kończyłyśmy zupełną modlitwę dostosował do sytuacji: „...pobłogosław, Panie, ten posiłek, który zaczęliśmy spożywać“. Nie byłabym tego zapamiętała, gdyby nie stara siostra refektarka, która mi to ze śmiechem przypomniała po latach, kiedy był już prymasem.

* * *

Kozłówka — pałac Zamoyskich. Jadzia Z., urocza, piękna i energiczna, mąż jej, Leszek (oficer pierwszego pułku ułanów), w osłagu. Pięknym gestem otworzyła pałac, oficynę, folwark, leśniczówkę dla rodzin kolegów pułkowych męża, które straciły dach nad głową, jak też dla innych osób wygnanych przez wojnę. Do stołu w pałacu zasiadało kilkadziesiąt osób: między innymi państwo Czaccy, braterstwo matki Czackiej, z córką Zofią, p. Michał Żółtowski, dwóch księży: ks. Stefan Wyszyński i ojciec W. — niedobrani konfratry! Kiedy podczas dyskusji w małym saloniku ojciec W. zaczynał roztaczać swe szowinistyczne teorie, sprzeczne z postawą chrześcijańską, ks. Stefan jednym zdaniem przeciwstawiał się i wychodził, nie chcąc staczać walki słownej, zupełnie bezużytecznej, a dla niektórych gorszącej. Podziwiałam Jego takt i spokój — odgadując, że się w Nim wszystko gotuje! Oczywiście On zwyciężał i Jego całe towarzystwo traktowało poważnie.

Nie wszystko podobało się ks. Stefanowi w Kozłowce. Za bogato, za elegancko, za dużo obrazów... Sp. stary hrabia Z. istotnie miał „hobby“ na punkcie obrazów. Pamiętam między innymi wspaniałe płótno Winterhaltera: damy w jasnych krynolinach, a

może i cesarzowa Eugenia, w słonecznym ogrodzie. Prócz arcydzieł w salonach obrazy pośledniej rangi na korytarzach, klatce schodowej, a ogromna łazienka wytapetowana była obrazkami w bogatych, złotych ramach! Ks. Stefan uprawiał — a i zalecał niektórym — ascezę spuszczonego oczu, by nie dać się rozproszyć tej wielości form. Ten młody jeszcze kapłan żył stale tylko „nieprzemijalnym“, tym *unum necessarium*... Dąsał się więc na światowy i arystokratyczny styl życia, ale miał ogromny wpływ na Jadwigę Z., po prostu nawrócił ją do głębszego życia religijnego, zaprzyjaźnił się z jej synem piętnasto- czy szesnastoletnim, a pięcioletnia córeczka gramoliła Mu się bez ceremonii na kolana i poważnie konferowała.

Znalazłam się w Kozłówce z racji rekolekcji dla kilku osób. Miały te rekolekcje wyraźny wydźwięk społeczny. Ks. Stefan nie baczył na małą ilość uczestniczek ani nie oceniał ich wartości. Każda dusza jest Boża, a słowo Boże trzeba głosić „w czas — nie w czas“ Tę zasadę wyznawał w najtrudniejszych momentach okupacji i chyba całe życie.

* * *

W Żułowie koło Krasnegostawu, majątku Towarzystwa Opieki nad Niewidomymi, schroniło się wiele siostr: z Lasek oraz dorosłych niewidomych. Tłok był w domku ogromny. Kaplica w suterynie. O. Kornilowicz tam się skrył, pod przybranym dla władz niemieckich nazwiskiem, a ks. Stefan dużo przebywał, czując się nieporównanie lepiej w biedzie franciszkańskiej niż w hrabiowskich pokojach. Przede wszystkim zaś pociągała Go orbita promieniowania o. Kornilowicza, Jego ojca duchowego i przyjaciela.

Miałam szczęście spędzić w Żułowie cały Wielki Post 1942 r., od środy popielcowej do pierwszego dnia Wielkanocy.

Codziennie o. Kornilowicz w swoim małym pokoju gromadził szczupłe grono na czytanie *Summy teologicznej* św. Tomasza. Był to rodzaj seminarium, do którego uczestnicy się przygotowywali, a byli nie byle jacy: ks. Stefan, p. Piotrowicz — przyszły ksiądz, s. Nulla, s. Joanna... Maruszka Stokowska — teolog w spódnicy. Na czas mego pobytu i ja byłam zaproszona, choć najmniej przygotowana do takiego studium. Ojciec przerabiał wówczas z nami traktat o łasce. Nie umiem wyrazić, jak te spotkania porządkowały umysł, pogłębiały wiedzę o Bogu, wzbogacały modlitwę... Ks. Stefan był jednym z uczniów mistrza, traktowaliśmy Go jak brata.

* * *

Drugą część okupacji spędziłam w Warszawie z Haliną Dernałowicz, korzystając z azylu u księżnej Adamowej Czartoryskiej na Kredytowej. Ks. Stefan przystał chętnie na prośbę Haliny, by poprowadzić Koło Biblijne, bo gdy chodziło o głoszenie prawdy Bożej, w takiej czy innej formie, zawsze to chętnie robił. W owych czasach było to połączone często z wielkim wysiłkiem, a zawsze z niebezpieczeństwem. Żadne zebrania nie były tolerowane. Toteż na licznych spotkaniach odbywających się ciągle w

Warszawie skupiało się zwykle przy herbatce nie więcej niż kilkanaście osób. Na Kółko Pawłowe przychodziło około piętnastu osób dorosłych.¹ Ks. Stefan wziął nas ostro do galopu. Każdy musiał przygotować jeden temat. Całość dotyczyła nauki o Ciele Mistycznym Chrystusa w listach św. Pawła. Trzeba było te wszystkie listy nie tylko przeczytać, ale dobrze przestudiować. Spotkania odbywały się w dużym, mrocznym salonie — zimą przy kopcących karbidówkach.

Świetny, szczegółowy plan tego studium zachowałam i w latach pięćdziesiątych według niego prowadziłam kółko młodzieży akademickiej. Mimo mizernej przewodniczki, sam bliższy kontakt ze św. Pawłem wedle klarownego planu ks. Stefana wiele dawał, a spośród sporej grupy uczestniczek kilka powołał Bóg do życia „pawłowego“, oddanego całkowicie apostołstwu w świecie.

* * *

Nie wspominałam miesiąca wakacyjnego w Laskach, gdy ks. Stefan i Halina mieli wykłady formacyjne dla pań z Instytutu Prymasowskiego. Stałam z boku i radowałam się ich radością i gwarem. Było ich dwanaście, chyba tylko Wandzia nie żyje? Spotkała się już z naszym Ojcem w blasku.

* * *

Halina D., zdobywszy fundusze za pośrednictwem nieocenionej księżnej Adamowej, utworzyła małe „ognisko“ na ul. Chłodnej. Było to dwupokojowe mieszkanie w oficynie odnajęte od sióstr zmartwychwstańek, które od frontu prowadziły oficjalnie internat dla dziewcząt. Tam na przełomie 1943 i 1944 r. do samego powstania działała się „cuda i cudenka“ A może i bez żartów cuda?

Pięć dni w tygodniu odbywały się tajne zebrania, na których — wbrew zasadom ówczesnej konspiracji — bywało do trzydziestu osób! Chroniło nas to, że po przeciwnej stronie ulicy była siedziba gestapo, a w internacie sióstr kręciło się ciągle sporo dziewcząt. Ta dobra „melina“ była wypożyczana różnym grupom na spotkania, ale nam chodzi w tej chwili o ks. Stefana. Był On wówczas kapelanem Zakładu sióstr franciszkanek w Laskach. Do Warszawy przychodził na dwa dni, co dwa tygodnie. Nie było prawie żadnego środka lokomocji, najczęściej więc przebywał te 15 km „z hakiem“ pieszo. W szarugi jesienne lub zimna przychodził na Chłodną zabocony, zmarznięty lub zmoknięty. Nie był to wyczyn odpowiedni dla Jego wątych płuc. Na Chłodnej miał u nas *pied à terre*, dostawał tak zwany obiad, na przykład kluski z margaryną i herbatę z ziółek, jajecznicę — jak udało się zdobyć kilka jaj. Dawałyśmy Mu do dyspozycji mały pokój, by mógł się trochę wyciągnąć, ale przeważnie kończył przygotowywać się do wykładu o katolickiej doktrynie społecznej. Wykład trwał trzy godziny, z małą przerwą, w pokoju zwanym „świetlica“, gdzie między oknami wisiał wielki krucyfiks po arcybiskupie Warszawy Popielu.² We wtorki uczęszczały dziewczęta z tajnego uniwersytetu, ze szkoły pielęgniarek itd. tkwiące po uszy w AK. We środy ten sam wykład powtarzał ks. Stefan dla nauczycieli i pracowników społecznych. Poza tym miał inne kontakty, o które nikt nie pytał.

¹ Równoległe ks. Seweryn Kowalski prowadził Koło Ewangeliczne dla młodzieży.

² Po spaleniu domu 6 sierpnia 1944 r. Krystyna Popiel odnalazła wiosną w gruzach tylko pasyjkę z brązu. Nowy krzyż został dorobiony w Laskach.

Jakoś pod wiosnę, pamiętam, zainicjowano całodzienne spotkanie konspiracyjnych grup katolickiej inteligencji, między innymi byli przedstawiciele „Credo“ z Zofią Kossak, Włodzimierz Okoński... Zeszło się ni mniej, ni więcej, tylko około dwustu osób! Po Mszy były referaty, dyskusje... Choć było się oblatanym z tajnymi zebra- niami — trochę skóra cierpła! Szare urszulanki wielkim sercem ofiarowały dużą salę z wyjściem na dwie różne strony. Pod koniec dnia siostra pełniąca wartość dała znać, że kręcą się jakieś podejrzone typy. Ale i tym razem Pan Bóg czuwał nad wariatami. Zaczęliśmy się rozchodzić po jednym, po dwóch, jedni Karową, drudzy Obozną i szczęśliwie się skończyło.

Powstanie przeżył ks. Stefan w Laskach. Ja też od lipca byłam tam z rodzicami Haliny Dernałowicz. Ona sama wiedząc, że na dniach wybuchnie powstanie, poje- chała 31 lipca 1944 r. do Warszawy, by przywieźć to i owo. Już nie wróciła aż po zbombardowaniu Kredytowej i zdobyciu przez własowców Elektorальной, gdzie się schroniła. Via obóz w Pruszkowie wróciła do Lasek w sam dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 15 sierpnia. Ognisko na Chłodnej, pod wezwaniem tajem- nicy Przemienienia, dane na kwatery członkiniom Instytutu Prymasowskiego, spło- nęło 6 sierpnia, w dzień Przemienienia Pańskiego.

Drżeliśmy przez te dni o bliskich, patrząc na straszliwą pożogę, słysząc samoloty i potworne wybuchy dzień i noc. Ks. Stefan przyszedł raz po mnie i poszliśmy razem na dach domu Świętego Stanisława, skąd było widać Warszawę jak na dłoni. Wpatrywa- liśmy się w dzielnice płonące, które, o tyle o ile, można było umiejscowić. Było to między 5 a 13 sierpnia... Ciężar nie do udźwignięcia!... Na moje jedno zdanie powie- dziane ze szlochem: „...co będzie, jeśli...?“ sam zgnębiony i zatroskany o wszystkich, o swoją siostrę, o Warszawę, o Polskę, odpowiedział mi z taką wiarą, z takim spokojem, że mi się on udzielił i chyba już nie opuścił do końca powstania.

* * *

Od razu, od 1 sierpnia, Łaski zorganizowały szpital. Zakład dla Niewidomych, położony na skraju Puszczy Kampinoskiej, od momentu wybuchu powstania był w wolnej Polsce. Niemcy bali się nawet zbliżyć do lasu ze względu na obóz AK we Wierszach, gdzie dokonywały się zrzuty broni i żywności przez aliantów dla walczącej Warszawy. Toteż już 1 sierpnia o godz. 17 zobaczyliśmy przed domkiem Dernałowi- czów koło kaplicy zakładowej młodzieńckiego akowca z biało-czerwoną opaską na ramieniu, stojącego na warcie. Staruszka mama Dernałowicz sama zeszła i ze łzami w oczach napełniała cukierkami kieszenie chłopca.

Szpital urządzono w Domu Rekolekcyjnym, a w salce obok kaplicy — salę opera- cyjną. Tam po raz pierwszy w życiu asystowałam przy amputacji nogi. Pielęgniarka z Bożej łaski, ileż widziałam krwi i ropy w tych paru miesiącach, a też ile odwagi autentycznej, gotowości na śmierć za Ojczyznę!... I to nie był frazes. Na przykład taki szesnastoletni Boguś, który z Wilna przyszedł na piechotę z partyzantką, żeby bronić Warszawy. Drobnutki, wyglądał na lat dwanaście. Kiedy płakał, s. Antonina spytała go, dlaczego, a on odpowiedział: „Ja nie martwię się, że umieram, bo to za Ojczyznę, ale że Mama będzie płakać... Uciekłem do lasu bez jej wiedzy“. Ranny w udo, umarł na skutek gangreny. Należał do Krucjaty Eucharystycznej.

Wciąż przynoszono i przywożono rannych, tak żołnierzy, jak i cywilów. Takich też, którzy po masowym rozstrzeliwaniu wyczołgali się o zmierzchu spod stosu trupów nie zakopanych od razu. Brak było pielęgniarek; chyba dwie fachowe, a reszta laicy, jak Zofia Szczuka, Ela Szykowska (Stommowa), ja... Ale jeszcze większe było zapotrzebowanie na pomoc duchową. Ks. Stefan był sam. Dwoił się i troił... A dał Mu Bóg szczególny charyzmat. Pamiętam Zdzisia: piękny, rosty chłopak, gdzieś ze wschodniej Małopolski, dwadzieścia lat, straszna rana, prawie na pół przecięty pociskiem. Lekarz ratował go, jak mógł w tych prymitywnych warunkach. Chłopiec chciał żyć... Widząc, że czeka go nieuchronna śmierć, s. Antonina usiłowała go przygotować do niej. Był wierzący, ale rwał się do życia! Poprosiła do niego ks. Stefana. Gdy wyszedł po długiej spowiedzi i udzieleniu Wiatyku, Zdzych, leżący w jednoosobowym pokoiku, wezwał s. Antoninę i powiedział jej: „Niech siostra zaraz klęka i modli się, żebym umarł 15 sierpnia, we Wniebowzięcie Matki Boskiej“.³ Było to kilka dni przed 15 sierpnia. O czym tam była mowa na spowiedzi, nie wiemy, ale chłopiec nagle zapragnął nieba, i został zabrany w wigilię Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

* * *

Zima po Powstaniu. Ósemka w Częstochowie; my z Haliną w Laskach, a w jej domu czwórka młodych z Wilna: Stanisław Stomma, Ela Szykowska, obecnie jego żona, Dagmara Dworakowska (dziś Parysowa) i miły student medycyny, którego nazwisko uleciało mi z pamięci. Ks. Stefan przychodził do nas na komplety wieczorną, która zwykle odbywała się w dużym trzyokiennej pokoju Haliny, a udział, prócz wyżej wymienionych, brały też Zofia Szczuka z Rabki i Zofia Czacka. Czasem duży pokój był zajęty, bo Halina Dernałowicz prowadziła sekcję RGO i przyjmowała petentów, rozdając odzież uciekinierom zza Wisły i warszawskim wygnańcom. Wtedy na modlitwę chroniliśmy się do małego pokoiku tłocząc się, jak się dało. I właśnie tam w wigilię Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny 1944 r. ks. Stefan przedłużył komentarz liturgiczny i mówił chyba ze trzy kwadransy o Matce Bożej. Słuchaliśmy jak urzeczeni... nikt nie notował, niestety, a magnetofony nie istniały. Ale chyba ani zapiski, ani nawet taśma nie oddałyby tego przeżycia, bo nie o krasomówstwo chodziło czy styl literacki... Był w tym żar przeżycia, który się udzielił, przeżycia duchowego, bardzo spokojnego, bez ujawnionej emocji, bez patosu, ale z głębią treści, która pozostała w duszy nawet wówczas, gdy słowa uleciały.

* * *

Prócz tych spotkań liturgicznych z małą grupą ks. Stefan miał wykłady z katolickiej doktryny społecznej. Chodził na nie kto chciał i był w stanie śledzić prelekcje na wysokim poziomie. Prowizoryczną salę wykładową w jakimś budynku gospodarskim⁴ wypełniali mieszkańcy Zakładu, siostry, uciekinierzy... Między innymi chodziła też profesorowa Doroszevska, znakomity pedagog i żarliwy chrześcijanin. Profesor nie był praktykujący i pobłażliwie patrzył na religijność żony. Toteż niezwykła była jej radość, kiedy raz jej mąż wślizgnął się na salę i usiadł na końcu notując skrzętnie podczas całego dwugodzinnego wykładu. Niestety, radość szybko się rozwiła! Prof.

¹ Pomyłona data; chłopiec umarł 7 września 1944 r. w wigilię święta Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

⁴ Trzeba pamiętać, że Laski były w dużej części spalone przez Niemców we wrześniu 1939 r.

Doroszewski, obdarzony niezwykle wrażliwym uchem na wymowę, przyśpiew zdania, prowincjonalizmy, miał świetną okazję wzbogacić swą wiedzę o wymowę z Podlasia. Jeden wykład wystarczył mu. Ten przemity człowiek o dużym poczuciu humoru pewnie z zaświatów śmieje się sam ze siebie...

★ ★ ★

Niedługo po wejściu wojsk radzieckich do Lasek (17 stycznia 1945) ks. Stefan Wyszyński wyjechał do swojej diecezji włocławskiej. Kiedy Mu s. Katarzyna przepowiedziała na wyjeźdnym, że zostanie biskupem, powiedział: „Nie myślałem, że siostra jest taka dziecinna!“ Po kilku miesiącach s. Katarzyna triumfowała!

Ludzi żyjących dla siebie zaszczyty przyprawiają o zawrót głowy, ale ci, którzy żyją tylko dla chwały Bożej, nie znają tego — przeciwnie, skłania ich to do większej pokory. O. Kornilowicz, bardzo już chory, pokazał mi zakończenie listu świeżo mianowanego ks. bp. Wyszyńskiego: „...w imię synowskiego posłuszeństwa — udzielam ojcu mego biskupiego błogosławieństwa...“

★ ★ ★

Jeszcze przed Jego sakrą biskupią Krystyna P. i ja spotkałyśmy się z Księdzem Nominatem w szpitalu Dzieciątka Jezus przy łóżku chorego o. Kornilowicza. Było to około Wielkanocy. Stan ojca bardzo nas zmartwił: nowotwór na głowie dawał przerzuty, ale ojciec był w pełni przytomny (nawet potem, gdy stracił mowę). Łudziłyśmy się jeszcze wierząc w cudowne wyzdrowienie, ale ks. Wyszyński nie wątpił, że kres nadchodzi. Był bardzo smutny i przygnębiony. Wyszliśmy ze szpitala rozmawiając, w wielkiej trosce złączeni uczuciem dzieci do odchodzącego najdroższego ojca. Ks. Wyszyński odprowadził nas i chętnie wstąpił na Noakowskiego, gdzie kwaterowałyśmy stłoczone w ocalałym mieszkaniu Anieli Skórskiej. Zatrzymaliśmy ks. Stefana na prowizoryczny obiad i rozmawialiśmy długo. Była to ostatnia „braterska rozmowa“ z Ojcem Prymasem.

Na sakrę 12 maja pojechaliśmy z Haliną D. na Jasną Górę i dzięki Marysi O. miałyśmy doskonale miejsca na balkonie, skąd z uwagą mogłyśmy śledzić wszystkie obrzędy, tak dla nas wzruszające.

Następne spotkanie było chyba już na pogrzebie o. Kornilowicza, we wrześniu 1946 r. w Laskach. Ks. bp Wyszyński wygłosił piękne, synowskie przemówienie i prowadził kondukt.

★ ★ ★

Gdy w latach 1946-1948 pracowałam na KUL-u jako sekretarka Instytutu Wyższej Kultury Religijnej, czasem widywałam Księdza Biskupa. Raz na herbacie wydanej przez ks. rektora Słomkowskiego dla prymasa Anglii — miałam zaszczyt być zapro-

szona wraz z paru paniami władającymi dobrze angielskim lub francuskim. Złożyło się jednak tak, że siedziałam w drugim salonie obok ówczesnego naszego prymasa Hlonda. Pochłonięci byliśmy ogromnie ciekawą rozmową z Nim, między innymi o wielkiej przyszłości Polski przepowiedzianej przez św. Jana Bosko. Te przepowiednie, nie publikowane nigdzie, miejscami przerażające, leżały na biurku Piusa XI i tam je przed wojną kard. Hlond czytał.

Ks. bp Wyszyński nadal był jeszcze moim spowiednikiem. Pouczenia, skąpe w słowach, trafiały w sedno i podnosiły na duchu. Oprócz spraw zbyt osobistych, pamiętam zdanie, mogące być dla wielu pożyteczne, a charakteryzujące duchowość spowiednika. Gdy się oskarżałam, że jestem zbyt miękka dla siebie, powiedział: „Nie o to chodzi, ale o rozumność“.

★ ★ ★

Po śmierci kard. Hlonda przyszła nominacja biskupa lubelskiego na prymasa. Nie spodziewanie spodziewana, bo nie pamiętam zaskoczenia. Byłam wówczas w Łaskach. Weszłam do kaplicy Domu Rekolekcyjnego i przemodliłam się tam sama całą noc... Miałam intuicyjną świadomość przeogromnej odpowiedzialności tego człowieka i ciężkiego brzemienia, które Pan włożył na barki swego syna.

★ ★ ★

W Wielką Sobotę 1948 r. poszliśmy do katedry na uroczystą Mszę świętą Pamiętam, jak Ksiądz Arcybiskup w purpurze — choć jeszcze nie kardynał, ale to przywilej arcybiskupów gnieźnieńskich i warszawskich — szedł na kazalnicę przez zwarty tłum. Jakaś staromiejska babina podniosła ręce do góry i donośnym szeptem zawołała w zachwycie: „Nasz król!“ Powtarzałyśmy to potem z uśmiechem rozczulenia jako ładną anegdotę. Pogrzeb Prymasa przypomniał mi ten epizod: proctwo prostej kobiety ze Starówki.